

# Recenzje

## O starej wojnie jeszcze raz



Swietłana Aleksijewicz,  
*Ostatni świadkowie.*  
*Utwory solowe na głos*  
*dziecięcy*, Wydawnic-  
two Czarne, Wołowiec  
2013

Ostrzegam: to nie jest  
książka dla ludzi o sła-  
bych nerwach.

„Po wielu latach dowiedziałam się, że mamie wykluli oczy, powyrywali włosy, odcieśli piersi. A małą Gałę, która schowała się i cicho siedziała pod choinką, poszczuli owczarkami. Psy przyniosły ją po kawałku. Mama jeszcze wtedy żyła, wszystko widziała... To przy niej...” – mówiła Wala, jedna z bohaterek książki Swietłany Aleksijewicz. Inna z bohaterek opowiadała: „stała tam kobieta z niemowlęciem, które ssało wodę z buteleczki. Strzelili najpierw do tej butelki, potem do dziecka... I dopiero potem zabili matkę”. Kto takich wspomnień nie wytrzyma, niech lepiej nie otwiera tej książki.

*Ostatnimi świadkami* Aleksijewicz dołożyła kolejną cegielkę do ogromnego muru świadectw o okrucieństwie, jakiego chyba jeszcze nie powtórzono. W swoich książkach białoruska pisarka oddaje głos wykluczonym i zapomnianym, wydobywając na światło dzienne pomijane do tej pory dyskursy: kobiet żołnierek, matek zabitych afgańców. W *Ostatnich świadkach*

wykluczonymi są dzieci, a ich perspektywa jest zbieżna z perspektywą większości, czyli dorosłych, a nawet z oficjalną linią radzieckiej propagandy. To, co wyróżnia tę książkę, to maksymalne skupienie na szczególe, na maleńkim wycinku rzeczywistości.

Pamięć dzieci jest inna od pamięci dorosłych. Ich wspomnienia mają niewiele wspólnego z historią znaną z podręczników. Cały ich świat ograniczał się do rodziny, szkoły, kilku znajomych miejsc, ten świat po wybuchu wojny zmienił się natychmiast i dla małych bohaterów Aleksijewicz jego rozpad był katastrofą niemal kosmiczną – bo na głowie stawało wszystko, co znali do tej pory. Z dnia na dzień musieli zacząć myśleć jak dorośli, świat został odarty z jakiegokolwiek magiczności. „Jestem dzieckiem bez dzieciństwa, zamiast niego miałem wojnę” – mówi Wasia Chariewski, który potem został architektem.

*Ostatni świadkowie*, podobnie jak pozostałe książki Aleksijewicz, współtworzą radziecką mitologię. Nieważne, czy to opowieść o Afganistanie, Czarnobylu czy drugiej wojnie światowej – to opowieść o kraju niezwykłym, o innej cywilizacji, która uformowała odmienny typ człowieka. Cywilizacji, która zniknęła, a Aleksijewicz jest jednym z ostatnich jej kronikarzy.

Wybuch wojny stanowił dla tych dzieci tak ogromny wstrząs, bo nawet one (a najstarszy z bohaterów książki miał

w chwili rozpoczęcia wojny około czterestu lat) karmione były mitem, że ich radziecka ojczyzna jest niezwykczona. Jednak niemieckie czołgi i samoloty okazały się o wiele większe i szybsze niż rodzime. We wspomnieniach tych dzieci nie ma Armii Czerwonej, bo z terytorium Białorusi, skąd pochodzą bohaterowie książki, czerwoonoarmiści zostali wyparci, a właściwie wypędzeni w pierwszych miesiącach wojny. Gdziekolwiek pojawia się jedynie obraz uciekających oddziałów, a później są tylko przychodzący nocami partyzanci. Wyzwolenie to krótki moment poprzedzający powrót do zrujnowanych miast (większość bohaterów pochodziła z Mińska) i spalonych wsi. W czasie wojny za pomoc partyzantom Niemcy spalili 619 białoruskich wsi, a ich mieszkańców wymordowali. Co najmniej połowa *Ostatnich świadków* to dzieci byłych partyzantów lub ludzi, którzy partyzantom pomagali. To znaczy, że co najmniej połowa bohaterów tej książki doświadczyła sieroctwa, ale nie zwykłego sieroctwa – widzieli, jak rozstrzelivano ich rodziców, często sami ich grzebali. „Wszystko zrobiliśmy sami. Bez dorosłych. A przed wojną nawet nie wiedzieliśmy, jak się grzebie ludzi. I nagle jakoś sobie przypomnieliśmy”.

To właśnie doświadczenie sieroctwa i głodu jest wspólne dla wszystkich tych dziecięcych opowieści. Sieroty trafiały do domów dziecka, które były dla nich wybawieniem, bo przynajmniej dawano im tam cokolwiek do jedzenia. A przed wojennym głodem nie było ucieczki: radzieccy jeńcy eskortowani przez Niemców, w miejscach, gdzie nocowali, zostawiali drzewa

ogryzione z kory i gołą ziemię. Ewakuowani z terytorium zajętego przez Niemców cywile nawet w dalekim Tadżykistanie nie mogli się najeść do syta. Gdzie tylko mieszkali ludzie, tam dotarła wojna. Nawet więcej, bo Aleksijewicz pokazuje, że okrucieństwo Niemców odczuwali nie tylko ludzie – jeden z bohaterów książki wspomina: „Mieliśmy dwie kury. Kiedy im mówiliśmy: »Cicho! Niemcy!«, to były cicho. Cichuteńko siedziały z nami pod oknem, żadna nie gadanie”.

Jeżeli ta wojna nadal żyje w pamięci Europejczyków, to głównie ze względu na bezmiar okrucieństwa, którego dokonano na ziemiach położonych na wschód od niemieckiej granicy. „Tata i mama byli przekonani, że takiej strasznej wojny już nigdy nie będzie” – wspominała Wąła, jedna z bohaterek książki. Nie sposób uniknąć pytania, jak możliwe było odbudowanie ładu po zakończeniu wojny. W powojennej Europie słowem kluczem było „pojednanie”. Ale to dopiero lektura książek takich jak ta uświadamia, że pojednanie nie jest czymś, co może załatwić jeden gest polityków składających kwiaty przed takim czy innym pomnikiem. Pojednanie musi zostać poprzedzone wybaczeniem, a wybaczać mogą jedynie świadomi win. Tym jest właśnie książka Aleksijewicz: uświadomieniem. Po drugiej stronie leży zapomnienie. Nie ma co idealizować: po drugiej wojnie światowej nie było pojednania, a u podstaw dzisiejszej współpracy narodów walczących wówczas po różnych stronach frontu leży raczej zapomnienie niż wybaczenie. Ofiary nie chcą pamiętać swojego ponizenia i łatwości,

z jaką stawały się oprawcami, oprawcy chcą zapomnieć o swoim okrucieństwie. Zwyciężył pragmatyzm.

Bohaterowie Aleksijewicz mają swoje historie, ale nie mają swojej narracji. Czytając jej książki odnosi się wrażenie, że to tylko jedna historia opowiedziana w setnych wariantach. Krótkie, urywane zdania, wielokropki w tych samych miejscach. „Długo szukałam gatunku, który odpowiadałby temu, jak widzę świat. Temu, jak jest zbudowane moje oko, moje ucho. Wypróbowywałam się... I wybrałam gatunek ludzkich głosów. Swoje książki wypatruję i wysłuchuję na ulicach” – pisze Aleksijewicz w krótkiej autobiografii, którą można znaleźć na jej stronie internetowej. Efektownie napisane, ale to nieprawda. Aleksijewicz owszem, wpatruje się i wsłuchuje, ale potem okrawa te opowieści ze wszystkiego, co się dłuży, zostawiając tylko niezbędne minimum, samą historię. Tymczasem nie tylko to, co się mówi, ale także jak się mówi, stanowi o naszej podmiotowości. Pozbawienie opowieści sposobu, w jaki były wypowiedziane, nadanie wszystkim tego samego stopnia dramatyczności, w gruncie rzeczy ubezpodmiotawia je, odejmuje im rys indywidualności. Opowieść bohaterów Aleksijewicz jest okrojona ze wszystkiego, co zbędne, czyli tego, co mogłoby choć trochę złagodzić jej działanie. Bo celem tej opowieści nie jest pokazanie prawdy historycznej, a przynajmniej nie przede wszystkim. Aleksijewicz pisze, żeby tekstem dzielić czytelnika po jego przystosowanej do stabilizacji głowie, żeby przeorać mu przyzwyczajony już do letnich emocji

system nerwowy – ale przeorać tak, by co najmniej przez kilka kolejnych nocy trupy straszły go we śnie. Aleksijewicz nie chce nic tłumaczyć naszemu rozumowi, ona chwyta nasze emocje i gra na nich. Zresztą z absolutnym mistrzostwem. Dlatego od bohaterów swoich książek Aleksijewicz bierze tylko treść, a formę nadaje sama. Dobrze rozumieli to członkowie jury Literackiej Nagrody Europy Środkowej „Angelus”, nagradzając pisarkę w 2011 roku za powieść (właśnie za powieść, nie za reportaż!) *Wojna nie ma w sobie nic z kobiety*. Gdyby opowieści Aleksijewicz były nie dość ostre, nie uderzały dostatecznie celnie, to czytelnikowi z pojedynku z książką udałoby się ująć cało – to znaczy, nie zostałby zupełnie zdruzgotany.

Jest w języku polskim taki zlepek słów: mrozić krew w żyłach. Jeśli nie wiecie, co to znaczy, poczytajcie książki Aleksijewicz. Ona to potrafi.

Tomasz Mróz

